№ 7.

# Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
*Rej z Nagłowic.*

**ROK 1844.** Poznań, dnia 27. Marca.

*DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pól roku talarów* **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Kiedy człowiek chce co zrobić pożytecznego dla ogółu i dla siebie, natenczas musi sobie upatrzyć pewien cel, i do niego dążyć. Skoro zaś kto pracuje i chociaż bardzo usilnie, ale bez celu, i rodzaj pracy jego zależy od przypadku, od okoliczności, zgoła od tego, co mu się nadwinie, natenczas pracuje, lecz właściwie nierobi nic. Człowiek niemający w pracy celu, jest próżniakiem, lubo zatrudnionym. Zdaje się, że to paradox, lecz nie jest wcale. Kto obrębuje grube drzewa, aby z nich porobić belki, kozły, czyli złożyć dom, ten zatrudnia się jako rzemieślnik pracowity, robi dom, ale ktoby te drewna obciosywał, przyrzynał, aby z nich rozmaitéj długości poucinał sztuki na nic nieprzydatne, tenby się zajmował i bawił tylko jako próżniak, choćby się wiele mógł namęczyć i od wschodu do zachodu słońca być potem zalany.

Przy pracach mechanicznych i ręcznych w ogóle mało się zdarza zatrudnionych próżniaków, ale ich straszna jest moc przy zatrudnieniu umysłowém, przy czytelnictwie.

Ile to na świecie ludzi, co czytają po kilka dzieł w ciągu jednego tygodnia, są czasem utalentowani, a czy w rozmowie, czy w piśmie swojém nierobią na nikogo wrażenia; owszem drudzy ich ani słuchać, ani czytać niechcą. Nikt im nieprzyznaje nauki. Przecież oni się uczyli i pojmowali, bo są utalentowani. Cóż więc w tych ludziach albo raczéj w ich uczoności tkwi za wada? — Oto cała rzecz, że czytali bez pewnego celu; czytali aby czas spędzić, ale nie żeby nabyć gruntownéj wiadomości; nie, żeby drugim jako pisarze przynieśli owoc swéj pilności. W czytaniu zajmowało ich wszystko: od matematyki szli do powiastek, od filozofii do bajek Ezopa, od budownictwa wojennego do trajedyi Sofoklesa, od podań starożytności indyjskich do teoryi siewnika rzepakowego, a wszystko ich zajmowało porówno, wszystko było dla nich jednakowo miłém zatrudnieniem, ze wszystkiego ten sam odnieśli owoc, zgoła wszystkiego się nauczyli po troszę, dla tego, nie są w stanie nikogo nic nauczyć należycie i dla tego pod względem naukowości nie mogą ogółowi przynieść żadnéj korzyści, i z téj strony świat się téż o nich całkiem nie kłopoce.

Jeżeli zaś człowiek obrał sobie jeden przedmiot, i wystąpi jako gruntowny naturalista, astronom, prawnik, pisarz powieści lub cokolwiek bądź, a przytém pokazuje, że obeznał się z wielu innémi umiejętnościami, z wielu literaturami, ze sztukami pięknémi, a nareszcie i zatrudnieniami praktycznego życia, natenczas jego imie naukowe staje się głośném i wielkiém, a jego praca przynosi korzyść ogółowi.

Dla czytelników, którzy w zapale gorliwego, a nie systematycznego czytania już się w lata zapędzili, niekładziemy tu téj krótkiéj uwagi. Niech sobie już czytają póki im wieczny odpoczynek zaśpiewany nie będzie, ale ludzi młodych, mających dobre przygotowanie szkolne, a nawet i bez tego jeśli tylko są utalentowani, wzywamy, niech sobie zawsze jeden obiorą przedmiot, w tym niech się starają poznać wszystkich pisarzy bez wyjątku; niech z ich dzieł porobią sobie na piśmie wyciągi. Obok tego wolno im pochodzić od jednego rodzaju literatury do drugiego, ale już będą mieli dorywcze wiadomostki gdzie przyczepić i na końcu staną się ludźmi gruntownymi,

ogółowi i sobie samym przydatnymi, będą mieli szacunek i nareszcie spokojność w duszy. Jak ich przycisną kłopoty życia, to pójdą rozmyślać i pisać na korzyść ulubionéj umiejętności, a zapomną o wszystkiém.

## Piękna Kuzynka.

*(Dokończenie.)*

Było to w miesiącu Czerwcu. — Niech co chcą piszą poeci, ale to do miłości najstósowniejsza pora. Jak serce niema się palić, kiedy cały świat się pali? Maj, to jeszcze chłodno, w Arkadyi może tam inaczéj, ale u nas w Polsce, kiedy słuchasz słowika, to nieraz przemarzniesz. A na zimno, miłość się wcale niewiedzie. Owoż przyszło mi na myśl, żeby mieć zamówienie do wychodzenia z piękną kuzynką do ogrodu, abym jéj zaproponował, iżbyśmy razem czytywali. Ledwom pomyślał, wykonałem mój projekt, a że został przyjęty i dobrze, któżby wątpił. Czytać i razem i piękne rzeczy, ach jak to błogo!

— Ale śliczna kuzynko — co najlepiéj lubisz czytać.

— To co pan, kochany kuzynku.

— Ja! — wybacz, ale wątpię.

— Czyżbyś tak był wyswobodzeniu nas kobiet przeciwnym?

— Zkądże ten zarzut, i do mnie, i do ciebie śliczna kuzynko?

Rzecz bardzo prosta — sądzisz, że niemogę lubić téj saméj lektury co pan? czyżby umysł kobiecy niebył w stanie pojąć i polubić tego co umysł mężczyzny? czyż jeśli harmonia charakterów może być między kim, naprzykład, jak między nami.

— Ach — westchnąłem jak mógłem najczuléj.

— Ona mówiła daléj, czyżby jednakie upodobanie miejsca mieć nie mogło! o toby było potępieniem kobiet.

— Zapewne, ale ja najchętniéj oddaję się czytaniu dzieł Alchemików, albo filozofów, tożbyś pani usnęła nim ja jednę bym przeczytał kartę.

— Alebym śniła o dobrym kuzynku, coby sobie tymczasem piersi dla mnie zrywał, aby mnie zabawić.

— Ach westchnąłem znowu.

— Stanęło natém koniec końców, że będziem czytać coś bardzo czułego. Kuzynka obrała Szyllera, Intrygę i Miłość.

Niechciały jednak losy błogosławić naszemu czytelnictwu, pierwszego dnia, przerwano nam, kiedyśmy właśnie mieli się popłakać nad książką, kiedy jéj dłoń spoczywała w mojéj, i do serca ją (tę dłoń) przycisnąłem, aby jéj dać uczuć jak ono bije, a dla kogo? No! to już jéj się było łatwo domyślić, ale, że ona Wołynianka, gotowa była jeszcze powątpiewać. Co się zaś drugiego dnia stało, to aż strach powtórzyć. Ale skończmy naprzód z dniem pierwszym, inaczéj ani ładu ani składu niebędzie.

Więc oto wystawić sobie, nas dwoje w zaciszu czytających sobie w najlepsze, kiedy nagle słychać szybkie biegnięcie, puszczam ręce pięknéj kuzynki, zaczynam czytać głośniéj, nagle staje służący przed nami. Jaśnie wielmożna pani! zagadnie.

— Cóż tam — czego chcesz?

— Jaśnie pani, przybyli goście.

— Ach — co za nudy.

— Co za fatalność, dodałem, i poszliśmy ku pałacowi.

Wchodzimy — pan mąż rozmawia z jakimś jegomością, który z kiepska po węgiersku wystrojony, wyglądał sam prawie na zbójcę, a przynajmniéj na urwisza od szubienicy.

Przyjechał widać konno, bo rumak wychudły, na którym bez czapraka siodło wypłowiałe i tręzla porwana wiele razy i powiązana, stał przed gankiem. Sam gość dusił w ręku nahajkę i krymkę z kutasikiem złotym — ale krymka splamiona. Ubranie gościa składało się z kaftanika w centki i rajtuzów szaraczkowych, podpasanych rzemianym pasem. Był to rosły, barczysty mężczyzna — lat mógł mieć około dwadzieścia i pięć — a zarosły jak Poznańczyk. Gdyśmy weszli, nie ukłonił się, ale daléj znów o interesie mówił z mężem pani serca mojego.

— No, to przecież skończymy rzecz!

— Zależy to od pana — rzekł mąż.

— Jeśli pan nie będziesz szachrował, jak to zwykle panowie....

— Nie — ręczam.

— Spuszczam się na pana! choć to nierozsądnie z méj strony, żeby panu wierzyć. A zatém przyślij pan konie — nie będę ich obzierał nawet, daję słowo — pieniądze zaraz wypłacę. Ale bądźże pan do djabła punktualnym.

— Niezawodnie — nie będziesz pan miał żalu do mnie.

— No, to ja sobie pojadę.

— Ale śniadanie zaraz będzie.

— Nie chcę — jeśli pan chcesz, daj mi pan trochę wódki.

Właśnie wniesiono tacę. — Gospodarz chciał częstować, nalać kieliszek — ale gość, ale gość wziął

flaszkę — napił się bez nalewania do kieliszka. Wsadził krymkę, bąknął: Bóg z wami! niesk łoniwszy się, wyszedł. Skoczył na koń i odjechał.

— A któż to taki? — rzekła kuzynka — niepotrzebnie nas wołano.

— To Bałaguła — odpowiedział mąż.

A cóż też nieobyczajne stworzenia te Bałaguły, pomyślałem. A pani moja ciągle się na służącego gniewała.

— Powiedz mi też — rzekłem do męża — coś bliższego o tych Bałagułach; u nas ani można się o nich dowiedzieć — co to oni są?

— Ot, jak widziałeś — dziwny w obchodzeniu, ale poczciwy chłopiec, co wszystkie formy towarzyskie depce, konno jeździ, z ludźmi comme il faut niewdaje się, albo wdaje się kiedy dla interesu musi i to tylko na chwilę, bywa często bogaty, nigdy nie ścierpi poloru, a czasem to i czyta — ot, to Bałaguła.

Jeszczem nie wiele więcéj wiedział, jak wprzody.

Ale dajmy pokój święty Bałagułom, wróćmy się do mojéj kuzynki. — Nazajutrz wyszliśmy znowu czytać Szyllera.

Szyller, przecież wielki poeta — ja nieźle czytam — kiedy więc właśnie rozwija się przed myślą mojéj ślicznéj kuzynki czuła osnowa potwarzy, które budzą fatalną zazdrość w sercu Ferdynanda, iż potępia swoję Ludwikę i daje jéj wypić truciznę, nie dziw, że łzy rzewnéj czułości zaczynają z jéj prześlicznych spływać oczu.

Ach! westchnąłem — klękam przed moją boginią — ale cóż to za okropny krzyk wznosi się — płacz — jęki!

Kuzynka zdawała się być zdziwioną, że ja powstaję.

— Cóż to ci się dzieje, kochany przyjacielu? — bledniejesz!

— Gdzieś wołają, płaczą — komuś ból i krzywda!

— Och, to nic — zaśmiała się.

— Nic!? ale krzyk coraz większy się wzmaga!

— Nic! nic!

— Ja biegnę ratować!

— Ależ ja ci mówię, że to nic nie jest. Wiem przyczynę krzyku.

— Jakaż? zapytałem niecierpliwy.

— Bardzo prosta — odrzekła spokojnie. Moja haftarka zepsuła mi najpiękniejszą chustkę. Wystaw sobie — kupił ją mój mąż w Wiedniu za 120 złp. — w Wiedniu — teraz kazałam coś w niéj przemienić, i ta chłopka obrzydła zepsuła mi ją na nic!!

I śliczna kuzynka zarumieniła się z gniewu.

— Ale cóż w têm wszystkiém znaczą te krzyki? Kazałam ją ochłostać — tylko sto dwadzieścia plag! ledwie po jednéj pladze za jednę złotówkę! Widzisz więc, żeś niepotrzebnie się przeląkł. — Ach, co to za wielki wieszcz Szyller — i ta nieszczęśliwa Ludwika i Ferdynand!

— Zadrzałem cały — wystawcie sobie, że na ognistym afektem rozgorzałe serce kubeł zimnej wody wylała Wołynianka.

— Padam do nóg pani?

— Cóż to kuzynku kochany — gdzież chcesz iść?

— Kazać zaprzęgać do bryczki — już tu zadługo siedzę.

— Chcesz wyjeżdżać — gniewasz się?

— Nie, moja pani, ale gardzę tymi, co płaczą nad książką i nibyto ukształcone; a za lichą szkodę, lub za co bądź w świecie, chłostać każą ludzi.

— Aleć to poddana moja! moja własność!

— Moja pani! twoje wdzięki przy takiéj podłości przekonań, że człowiek może być własnością człowieka, że wolno go kazać chłostać, zupełnie gasną i brzydną.

— Alec mówisz jak Bałaguła!

— To też te Bałaguły dobre to chłopcy, niecierpią panów, co ludzi za własność uważają, ale nieszczęście ich, że ich dobre serca, w tych naszych Wołyńskich Chinach kierunku rozumowego nabrać niemogły, aby wiedziały, że ich dobre zasady, przy życiu szynkownêm gasną, ale cóż oni temu winni, niemogą nabyć wyższéj oświaty, a wy możecie....!

I za pół godziny siedziałem na bryczce, błogosławiąc losom, żem już daleko od Wołynianki.

*E.*

---

## Ojciec Marek.

*(Dalszy ciąg.)*

Poemat dramatyczny, mianowicie tragedya ma całą szczytność swoją w przedstawieniu walki złego i dobrego, niejako Boga i Szatana. Są osoby dziejowe, a te są przedewszystkiém tragiczne, które pełną piersią ogarnęły sprawę bóstwa, sprawę dobrego, a uzbrojeni całą potęgą woli i ducha występują za nią do walki. Potęgi złego mają także swoich i licznych zastępców. Złość, obłuda, podstęp, namiętność i zbrodnia wszelkiego rodzaju w zbrojne zastępy gromadzi się i bój zacięty z geniuszami czasu toczy. Lecz obrońce światła, to ludzie natchnienia i zachwytu, wyprzedzają czas

swój, i dla tego padają ofiarą. W starożytności na podobny sposób o fatum jedynowładne rozbijały się zabiegi i siły ludzkie. Tworzenie przyszłości przez śmierć i męki teraźniejszości oto tragiczność.

Poeta nasz uczuł w całéj sile prawdy, że w konfederacyi barskiéj wielka przyszłość się poczynała

Ja xiądz prosty, powiem tobie,
Że tu leży Polska w żłobie
Lecz Polska nie tego wieku,
Żywa — nie przez nasze czyny
Szanuj sen świętéj dzieciny
Która, gdy oczy otworzy
A uczuje boleść ciała
Najpierwéj będzie płakała,
Taka ją ciemność zatrwoży
Z naszych grobów uczyniona,
I brak matczynego łona
Tak ją w żłobeczku rozkwili.
Szanuj — bo tu, gdzie my żyli
Bogu i ziemi na chwałę
Poczęło się dziecko małe,
Które będzie żyło wieki!
O! gdybyś wiedział, jak one
Przed narodami wystrzeli
Jaką ogromną koronę
Włoży — jakie berło chwyci. — i t. d.

Czemu za reprezentanta téj przyszłości, najszlachetniejszemi ofiarami okupionéj, nie wziął poeta Puławskich, ale xiędza Marka, łatwa odpowiedź. X. Marek nie ma żadnego znaczenia historycznego, ale niesłychane ma znaczenie w powieści ludu, i dla tego cały urok, cała nawet szczytność poezyi z osób dziejowych na tę osobę wśród gminu cudowną przenosi się. Powiemy więcéj. Jeżeli bliskie zdarzenia historyczne, właśnie dla téj bliskości nie przydadzą się ani na epos ani na dramat, szczęśliwiéj daleko przypada ku temu postać księdza Marka z owych nie tak odległych czasów, żywą i pełną wiarą ludu w rzeczywistą poetyczną sferę cudowności pomkniona.

W takiéj też osłonie cudowności, w charakterze natchnionego proroka występuje w poemacie ks. Marek. Atoli natchnienie to jest tém wznioślejsze, że jest patryotyczne, tém szczytniejsze, że jest postępowe. Ujarzmienie ludu w niewoli jest zakałem, który gubi Polskę, jego uwolnienie jest jéj przyszłością. Dla tego nim jeszcze występuje na scenę sam ks. Marek, już go takim maluje Towarzysz, gdy opowiada jego kazanie, w którém cud ukazujący się na niebie (siedmiomieczowe słońce) tłumaczył:

Miecze te, powiada, bolu
To są gorsze od kąkolu
Wady na ojczystém polu,
Z których boleść ma ojczyzna.
Pierwszy miecz, co w niéj usterka,
Mówił, jest to francuzczyzna
A drugi miecz to szulerka,
A trzeci, to kieszeń stratna,
A czwarty, kobiece rządy;
Piąty, to przedajne sądy,
A szósty, zawiść prywatna
A siódmy, zgniłe sumienie
— — — — — — —
Potém kazał przed ambonę
Przynieść trumnicę z kościarza.
I sam z ognistą powieką
Nogą odrzuciwszy wieko
Kiedy się pył ruszył z kości,
Krzyknął. — Oto proch cmentarza,
Który w żywych obecności,
Będzie sądzon, jak wy sami,
Kiedyś nakryci trumnami
Przez lud będziecie sądzeni,
Oto jest proch z trupa rdzeni!
Oto jest jedna z piszczeli,
Co może na karabeli
Spoczywała do starości.
Jeśli ty, mówił do kości,
Z pod twojéj rysiowéj delii,
Przy czytaniu ewangelii
Szabli dobyłaś na światy?
Ręko, bądź błogosławiona!
Lecz jeśli wy stare gnaty!
Wy spruchniałe dziś ramiona!
Wy drżące palców kosteczki!
Dla jakiéj prywatnéj sprzeczki
Dobyłyście z pochew miecza,
Chłopską porąbały chatę!
Jeśli ty ręko człowiecza,
W sygnetach, a krwią ociekła,
Podpisywałaś utratę
Naszych pogranicznych grodów?
Jeśliś cały naród wlekła
Za włosy w trumnę narodów
I poiłaś go piołunem?
— Ręko hańby idź do piekła!
Rzekł i kością, jak piorunem
Uderzył z czarnéj ambony,
Pomiędzy lud przerażony,
W sam środek szary motłochu
W sam środek czerni szepcącéj — i t. d.

Cudu ojciec karmelita wtenczas dopiero używa, kiedy idzie o to uratować sprawę ojczyzny. Wszyscy go opuszczają, na odgłos zbliżających się wojsk nieprzyjacielskich. Opuszcza marszałek Krasiński, opuszcza regimentarz Pułaski, opuszcza nawet przeor karmelitów, za niemi szlachta konfederacka. Charakter Marka w całéj świetności się tu pokazuje. Do Krasińskiego tak przemawia

Marszałku! panie narodu!
Czyś ty dzisiaj doznał głodu?
I pomyślał o tém w głodzie
Ażeby naród opuścić? —

Pan Bóg ci może odpuścić
Jeśli to się w głodzie stało,
Jeśli twoje biedne ciało,
Zaczęło się trząść na kości
Pan Bóg jest pełny litości
Jeśliś głodny był — przebaczy.
Lecz Panie! — tyś ogłodzony?
Powiedz? czy upior czerwony,
Jakie rodowe widziadło
Odpycha od ciebie jadło,
Straszy cię? jeść nie pozwala?
Albo krwią okrzepłą kala
Ten chleb który bierzesz w usta? —
Więc wyznaj, że ani nędza
Ani głód jedzący żyły,
Poradził — ale ta jędza,
Co krew polską dawno chłepce,
Tchórzostwo do ucha szepce....

Nic nie pomagają przedstawienia. W natchnieniu najwyższém zaręcza marszałkowi, że nikt z téj gromadki nie zginie, a na wiarę słowom swoim, znak daje, że zagrzmi działo. Zagrzmiało. I donoszą puszkarze, że cudem jakimś pękło działo na ćwierci. Marszałek bierze to za znak do ucieczki i opuszcza Bar. Za nim Pułaski, ze smutném przeczuciem upadającego kraju. Jego szablę przypina ks. Marek do boku

Szabla mi się nie należy
Lecz przez nią Pan Bóg uderzy.

Do Przeora uwożącego sakramenta i relikwie z kościoła, tak się odzywa:

A cóż nam zostawiasz? mogiły?
Ojcze! ojcze przełożony!
Gdyby tu jedna owieczka
Pańska, jeden człek raniony
Miał zostać w nędznéj mieścinie,
Co podobna do okrętu,
Na morzu rozpaczy ginie:
Gdyby ten jeden o Panie!
Ranny wołał sakramentu?
Rękę swoję kładł na ranie,
Głowę zwiędniały pokłonił
I tchu duchowego bronił
Z rozpaczą w zawrotnéj głowie:
Aż Pan Bóg przyjdzie i powie
Słowo ostatniéj pociechy:

„Przebaczone ci są grzechy"! —
„Duszo święta, wychódź z ciała"

Gdyby jeden został taki
Najlichszy między żebraki
Pańska by przy nim została
Myśl i miłość pańska przy nim. —
— — — — — — —
A ty sam z kościoła progu,
Uchodzisz! ksiądz poświęcony!
— — — — — — —

Lecz ksiądz co Boga uwozi,
I ucieka z nim za bramy?
Tego my jeszcze nie znamy
W Polsce od dawnego wieku!
A co ty wiesz? ty człowieku!
Czy Bóg nie chce zostać z nami
I patrzeć, jak umieramy?
I karmić sakramentami?
I dusz naszych wszelkie plamy
Krwią swoją obmywać drogą? —
A co ty wiesz? czyli trwogą
Włożon do twoich zanadrzy,
Duch sakramentów nie zadrży?
I nie zlęknie się tych kości,
Gdzie żaden już duch niegości? —
A co wiesz? czy tajemnice
Po sakramentach zamknięte
Nie pierzchną, by gołębice,
Nie zlecą się w jedno święte
Miejsce, — gdzie były już miecze,
A teraz jest pokój Boży —
W to biedne serce człowiecze,
W moją pierś, co się otworzy
Pełna radośnéj boleści,
I wszystkie! wszystkie pomieści!
Nie — Boga nie weźmiesz zgoła,
Boć to niejest tobie dane.
Oto idę do kościoła,
Sakramenta porwę w dłonie
I pójdę — i śród kul stanę.

Było to w dzień zielonych świątek, umajone były ulice. Na ten widok, jak Chrystus patrząc na Jeruzalem, powiada w natchnieniu prorok:

Polsko! nie jesteś oszczędną!
Te klony, te jarzębiny
Te brzozy — las cały młody
Przyniosłaś sobie do miasta
Prawdziwie, jak ta niewiasta
Między Judzkiémi narody
Sławna — że flaszeczkę całą
Bardzo drogich aromatów
Wylała na zbawcę światów.
O któréj rzekł: że mu ciało
Uprzedziła na pogrzeb pomazać
— — — — — — —
Czy słyszysz jak ten las śpiewa
Listeczków tracąc ostatki?
Błogosławione wy drzewa!
Błogosławione wy dziatki
Rosnące przy kraju męczeństwie!....

Po odprawionych nieszporach, z monstrancyą w ręku, i w tłumie ludu, błogosławiąc go, idzie na wały, powstają grzmoty i błyskawice.

SZLACHTA.

— — — Grzmot już tu bije —

X. MAREK.

Wszemu duchowi co żyje,
I tym którzy przyjdą nowi

Czyści, stać przy Bożém prawie
Tym kielichem błogosławię:
*(błogosławi chmury wśród ognistych trzaskawic)*
Chwała Ojcu i Synowi
I Duchowi Świętemu chwała!

SZLACHTA.

Niebo od piorunów pęka
Z wałów biją wszystkie działa,
Kto żyw, niech przed Bogiem klęka!
Pan zwycięża! narody giną!

X. MAREK.
*(wśród najmocniejszych piorunów)*

Gloria in excelsis Domino!

SZLACHTA *(na klęczkach)*.

Pioruny trzęsą biegunem!
Panie! proch z nas i ofiara
Lituj się naszego jęku!

X. MAREK.

Wstańcie! teraz wasza wiara
Zapalona jest piorunem,
A ja ten piorun mam w ręku.
*(chwyta sztandar i wychodzi na czele szwadronów).*

SZLACHTA.

Idźmy, prowadzi na wały,
Dzień to zwycięstwa i chwały!
Daléj z działkiem za rajtaryą!

CECHOWY.

Naprzód sztandar z Panną Maryą
Naszą świętą z Poczajowa. . . .
Słyszycie? to Suwarowa
Baterya gra, posępnym basem,
Kantyczce naszéj do wiersza.
Odézwała się najpierwsza
Pod Hawryszowieckim lasem. . . .

GŁOS Z PO ZA SCENY.

Cud! cud!

CECHOWY.

Co tam?

GŁOS.

Jedna ruska
Baterya z ziemi porwana
A na płomieniach Wulkana
Zjawienie! . . . I wał konnicy,
Któréj koń we krwi się pluska,
W samo morze z błyskawicy,
Jak wał żelazny się wali.

CECHOWY.

Wszelki duch Chrystusa chwali!
Bez harmat my, bez oręża,
Lecz Pan Bóg za nas zwycięża!

Zdradą Judyty żydówki, którą niedawno przedtém X. Marek ochrzcił, nieprzyjaciel wszedł do miasta. Prorok ranami okryty, wzięty w niewolę, znosi cierpliwie naigrawanie Kreczetnikowa i Braneckiego. Spostrzegając Judytę, rzecze:

Upadnij tu na kolana
Córko, niechaj ci odpuszczę.
Idę do mojego Pana.

JUDYTA *(na kolanach)*.

Przeklnij! Przeklnij!

X. MAREK.

Ja, Judyto?
Oto naród mój zabito!
Oto patrzaj, tam w oddali
Płomień!... Dom się Boży pali
Nad ognistéj krwi strumieniem;
I niebo kole płomieniem,
Jak miecz archanioła kręty,
Ostrzem postawiony w górę.
Miecz gotów karać naturę:
Ludzi — że są przeciw cnocie,
Braci — że rwą serca bliźnie,
Polaków — że przeciw ojczyznie,
Niewinnych — że są w ciemnocie,
Winnych — że w jasności ślepi;
— — — — — — — — —
I ja przez tych świateł krocie
Oświecony! miałbym córo
Nie przebaczać tu ślepocie?
Lecz we krwi umoczyć pióro?

Wskazany na rózgi, uchodzi cały, cudem bowiem jakimś oprawcy oślepieni, zamiast jego chłostać, na siebie uderzyli i siebie katowali. Wtrącony do lochów, kiedy miasto się pali i zaraza w niém powstała, powstaje bunt między wojskiem, które w tém karę niebios na się zesłaną widzi. Odbijają X. Marka. On wzniesiony na rusztowaniu z łóżek szpitalnych, z krzyżem, w podartym i pokrwawionym habicie, daje klęczącym w okół błogosławieństwo. W téj apoteozie umiera.

Kto mię słucha ojczyznie niech powie,
Że sztandar zatknąwszy w Barze,
Ległem sam na tym sztandarze
Broniąc go duchem i ciałem,
A przy śmierci sam jeden zostałem.
— — — — — — — — —
Bo ja ojczyzny być muszę
Duchem stróżem i patronem;
I wyżéj porywać dusze,
A żadnéj ziemią nie skalać,
Ale wszystkie pozapalać
Na nowe wieki i czyny:
A teraz zdjąć z téj mieściny,
Gdzie włada dżuma i trwoga,
Zarazę, jak sztandar siny,
I z chorągwią tą odejść do Boga
Do którego mię boleść porywa.

Oto jest obraz X. Marka, ujęty w dramacie J. S. Należy nam jeszcze rozważyć, jak się około tego obrazu grupują inne osoby, i cała akcya dramatu.

*(Dokończenie nastąpi.)*

## ROZMAITOŚCI.

Ze Lwowa.

W czasie, kiedy we wszystkich częściach dawnéj Polski ogólném jest staraniem zachować język ojczysty w nieskazitelnéj jego czystości; kiedy mówić po polsku stało się nie tylko modą, ale co lepiéj przyzwyczajeniem, tak, że nawet Polki nasze porzucając błyskotki języka francuskiego, zaczynają czytywać książki polskie, przemawiają już po polsku do swych kochanków, mężów i dzieci, bo nawet tu i owdzie salony nasze po polsku mówić się tymczasem uczą, póki się nie nauczą czuć po polsku; w czasie, kiedy język rodowity stał się, bym tak rzekł, ostatnim wałem strzegącym ostatniego wyłomu narodowości naszéj, do któréj jak do warowni tylu siłami oblężonéj — strzelają, a od tak dawna swoi i cudzi tysiącém różnojęzykowych, różnorodnych i różnozwyczajowych pocisków, w czasie w którym mówić albo niemówić swoim językiem jest to samo prawie, co być albo niebyć: w takim czasie Lwów posiada zarząd teatru, który wypędza teatr polski tyloletnią walką, cierpieniami i zasłużoną chwałą uświetniony, aby natomiast rzucić niby szyderstwem pogardy — teatrem francuskim w oczy polskiéj publiczności. Jeżeli to postępowanie jest w celu pomagania tym, którym nie do smaku mowa nasza. . . . Cóż o tém powiedzieć? — a jeżeli dla zysku . . . . jakaż to słaba, bym grzecznie powiedział, głowa jest na czele teatru. Pierwsze twierdzenie tego smutnego dilematu jest tak jasne, tak prawdziwe, i na szczęście nasze tak głęboko uczute przez wszystkich tych, którzy jeszcze czuć umieją, iż się nad niém rozwodzić nawet nie będę, a o drugiém dla tego tylko wspomnę słów kilka, że jestem prawowiernym, wierzę jeszcze w cuda, a może po Wielkiéjnocy choć w rocznicę zesłania Ducha Śgo Przedwieczny zechce natchnąć jeżeli nie duszę lepszém czuciem, to przynajmniéj głowę lepszém rozumieniem własnego dobra.

Teatr francuski sprowadzi może nowością swoją licznych widzów, to jest liczne grosze do wiecznie głodnéj kassy, jakkolwiek mniemam, że znajdzie się lepsza część publiczności, która na owe szyderstwo pogardy sobie rzucone odpowie szyderstwem zamkniętéj kieszeni, co najboleśniéj zapewne dotknie draźliwą chciwości strunę. Lecz to towarzystwo wędrowne opłacone sowicie, obkadzone aż do przesytu przez nowinkarza lwowskiéj gazety nie popasie długo, pomknie zapewne daléj ku północy może; — skromnemi cwancygierami połechtane, zechce je wodwilami swemi wydać w szersze, błyskotniejsze i ponętniejsze ruble. Cóż wówczas stanie się z kassą!? Wtenczas to przy smutnym widoku pustéj sali zaświta może w głowie rządcy myśl gorzka, bo późna, że choć trzy razy na tydzień w czasie polskich przedstawień, bywało pełno. Naco tu łudzić się daremnie! opera we Lwowie licha, dramat i komedye niemieckie jeszcze gorsze, nikt na nie niechodzi; od czasu do czasu kasperlowskie farsy zapełniają parter i galeryę; przedstawieniami więc tylko polskiemi żywiła się dotąd kassa teatralna; najlepszym tego dowodem jest cena podwyższona w dnie polskich przedstawień, któréj mimo ofiary pieniężnéj, jaką sejm chce zrobić dla teatru polskiego, kassa zniżyć niechce. Uderz się kasso w piersi! i pomyśl, jeżeliś myśleć zdolna, komu masz za to podziękować, jeżeli nie artystom polskim, jeżeli nie publiczności polskiéj, którą śmiesz wyszydzać i pogardzać, mówiąc: „Przyjmę innych aktorów i będą przychdzić do teatru jak teraz przychodzą"! — Darmo wmawiasz geniusz w ulubieńca swego. Jego tylko talent zepsujesz zarozumiałością, ale zdania ogólnego nie przeistoczysz, ale niewyciągniesz dla nowych członków teatralnych z łona publiczności tego srebrnego, złotego banknotowego najmilszego tobie współczucia, jeżeli odgonisz takich artystów jakimi są: Nowakowski, Benza, Starzewscy i Rudkiewicze! Oni bez ciebie obejdą się, znajdą wszędzie otwarte serca, które zdołają oszacować talent, zrozumieć wpływ jego na dzisiejsze potrzeby umysłowe, a w końcu znaleść różnicę między choć źle urodzonym, ale duszą i umysłem prawdziwie oświeconym artystą a półgłówkiem, znakomitych przodków.

Owoż szanowna kasso widzisz, że źle rachujesz, trafia się to w każdéj kassie! . . . Usiądź więc raz jeszcze do ulubionéj umiejętności matematycznéj, a może zatrzymaniem dawnych artystów lepiéj się przysłużysz publiczności polskiéj, niżeli niedowarzonemi instytutami jakiemiś, których utworzenie powodowała duma, co za życia chce widzieć wystawiony sobie pomnik! . . . To téż na nim, jak na wszystkich pomnikach nagrobkowy tylko fałsz kryje się pod zgłoskami szumnych pochwał.

---

Paryzkie damy, równie jak inne, mają rozmaite, a szczególniejsze upodobania. Za czasów Henryka III.

wszystkie trudniły się wychowaniem małych piesków, pod Ludwikiem XV. robiły kokardy i inne roboty z wstążek, teraz robią wszystkie kwiaty z papieru. Tak daleko już doszło to upodobanie, że wschody sienne, przedpokoje i salony, zdobią papierzanemi kwiatami, tak jak dawniéj na balach prawdziwe kwiaty umilały widok. Przed kilku tygodniami widzieliśmy na balu u jednéj z najmodniejszych pań paryzkich, hiacynty, róże, georginie papierzane. Goście podziwiali nowość, my zaś nie znajdujemy w tém żadnego smaku.

Daguerre udoskonalił swe odkrycie, obrazy daguerotypowe uskutecznia w tysiącznéj części sekundy; a Lanzarulo w Rzymie odkrył sposób bezpośredniego odbijania tych obrazów.

Wszyscy wielcy mężowie mieli pewną słabość i starali się być sławionymi dla jakiéj podrzędnéj zręczności lub sztuki, która ich imie właśnie nie rozgłosiła. I tak Canova sławny rzeźbiarz uważał siebie za lepszego jeszcze malarza; Michał Angelo i Salvator pysznili się z swoich poezyi, wielki malarz Dawid nie wiele cenił swéj sztuki, i wolał uchodzić za wielkiego męża stanu i skrzypka, tą też słabością odznaczał się Sterne; Cerwantes wyżéj stawiał złe swoje komedye, aniżeli wybornego Donkiszota, Lafontaine przenosił swe dramata nad bajki; Woltaire wprawdzie lubił pochwały ze względu na swe poezye, wolał przecie zarobić na sławę fizyka i astronoma; Gretry dopatrywał większéj wartości w swoich rozprawach filozoficznych, aniżeli w utworach muzycznych, Bérenger więcéj w pracach swoich historycznych niż w pieśniach, które brzmią w uściech całego narodu francuzkiego; Byron więcéj cieszył się, że umiał wybornie pływać, aniżeli, że dobre pisał poemata, nareszcie nasz Mickiewicz woli być profesorem i prorokiem, aniżeli tém czém jest, wielkim poetą.

## MODY.

Paryż, dnia 20. Marca 1844.

Ostatnie bale odznaczały się liczbą osób i znakomitością toalet. Wysokie stroje głowy były upowszechnione, toż samo powiedzieć można o kwiatach pojedyńczych; widziano wprawdzie i girlandy, ale nie miały one stałego kształtu.

Najwięcéj podobały się, szczególniéj młodym damom, nowe małe kapelusiki z krepy i ozdobione marabutem i diamentami. Główki u nich, jako też obwód mały był w bufki ułożony. Zdawało się prawie, jakoby młode damy słowo sobie dały, iż tylko w krepowych i koronkowych wystąpią ubiorach. Garnirunki były najrozmaitsze; zawsze jednak z kwiatów ułożone.

Okrycia na wyjście z balu powiększéj części bywały z białego kaszemiru, z kolorowym haftem np.: dębowém liściem lub srebrzystym brzegiem.

Zaczynają się o tę porę troszczyć względem ubiorów na przechadzki, wyjście do miasta i tym podobne i dla tego możemy polecić na ten cel kilka wzorów w teraźniejszym smaku: suknia z gros d'dorient z wysoko zachodzącym, na pół sztywnym stanikiem bez przepaski, z obcisłemi rękawami, z wystrojem małych bufek na ramionach. — Inne suknie z atłasu, pekinu w pasy atłasowe, mają gładki wysoki stanik i obcisłe rękawy. Powłoki wszystkie są albo gładkie t. j. bez ozdób, lub mają dwie falbany szerokie albo sfałdowaną wstążkę, która od dolnego brzegu, aż do stanika zachodzi. Podobnie fałdowana wstążka otacza część górną rękawów.

Kształt kapeluszów w téj chwili niemoże się zmienić wiele. W ogólności obwód na tyle kapelusza dosyć obszerny, z przodu dosyć głęboko na lica zachodzi. Kapelusze na wizyty, z krepy lub blondyn robione, piórami zdobne, są daleko mniejsze.

Co się tycze mód letnich, wiele tu już o nich rozprawiano. Za rzecz pewną uważają, iż najwięcéj ukaże się staników obcisłych, otwartych w kształt serca; będą zupełnie płaskie, bez sznurowań i wyłogów, na każden przecie przypadek jeżeli otrzymają wyłogi, będą one wązkie, nakształt maleńkiego szalika, lub téż zostaną anglezami ozdobione i małym kołnierzem, który z anglezami V. utworzą. Anglezy nie powinny być szerokie, inaczéj utworzyłyby bavaroizy, dawno zapomniane. — Co do ozdób sukien, w tém są podzielone zdania, wybór do dam należy. Sznureczki są za ciężkie ozdoby, pasamony zdawały się niedawno jeszcze dosyć lekkie i piękne, teraz je zaniedbano i haft kameleoński otrzymał pierwszeństwo. Jest to lśniący haft z czterech tkanin jedwabnych robiony. Aby coś podobnego utworzyć, wynalazł Rion tak zwane byrintowe pasamony, które lżejsze są jak sznureczki, a eleganckie jak koronki weneckie i stósowne do wszystkich sukien.

## Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór balowy.
2. Ubiór małéj panienki.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*